

SZCZĘŚLIWEJ GWIAZDKI
NA NIEBIE I POD CHOINKĄ
ORAZ SPEŁNIENIA ŚWIĄTECZNYCH
I NIE TYLKO OCZEKIWAŃ

życzą CZYTELNIKOM „Kontakty”



KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

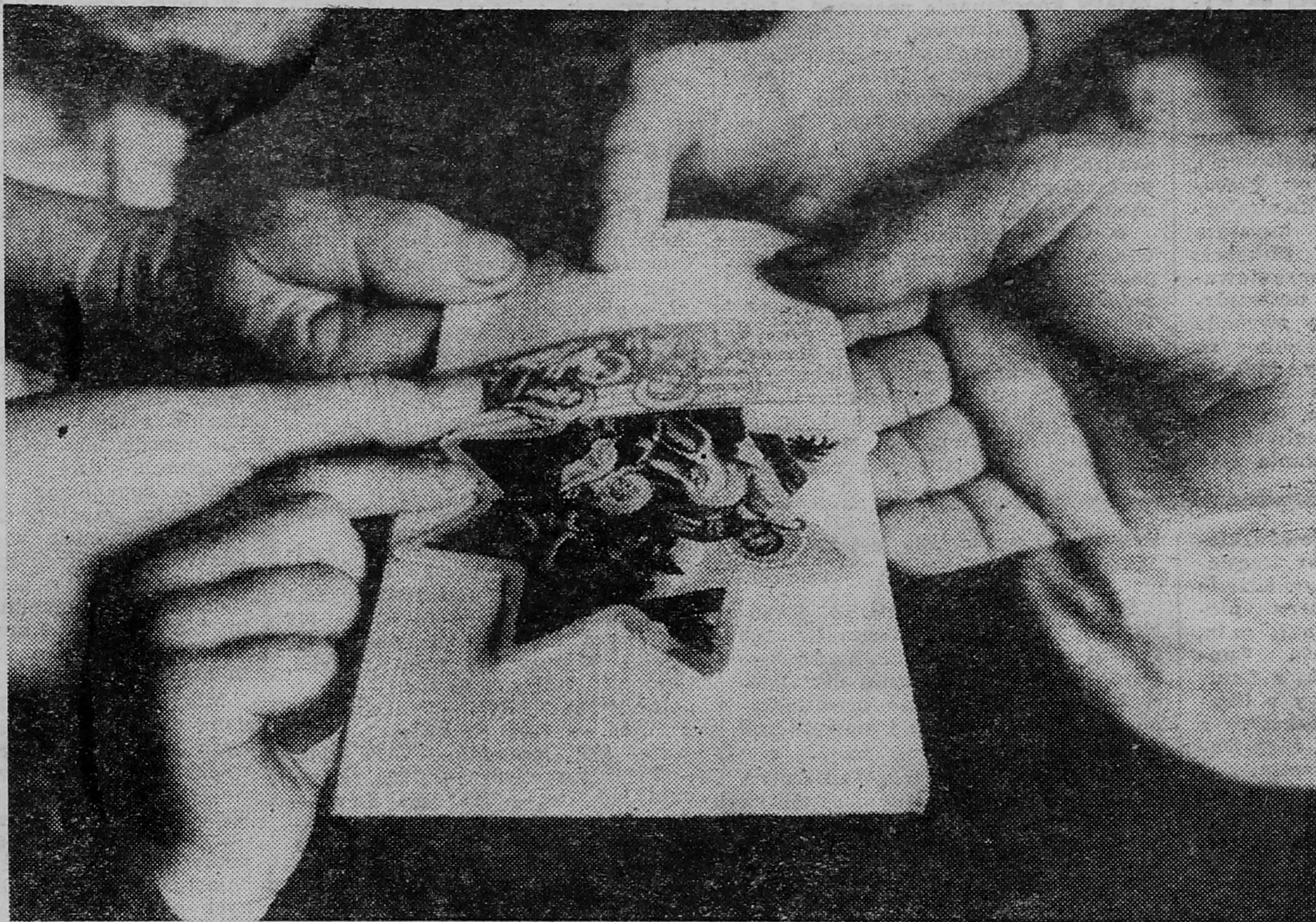
PL ISSN 0208-6840

51

(427)

KONTAKTY
1988-12-25

cena
35 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

Z CYKLU „KOŁĘDY”

★ ★ ★

Las cichy zadumany
zawładnięty nowiną
nad słuchują drzewa
skąd idzie kołęda
w mrocznej ciszy

zwierzęta zastygły
coś się dzieje
w tej Wielkiej Nocy

na moment
zbawcza gwiazda
zatrzymała się
na najwyższym drzewie

czyżby tu miało się
wydarzyć

to wszystko
na co czekamy
przy nakrytych stołach

JAN KULKA

WE WSI
PRYMASA TYSIĄCLECIA

WIGILIA W ZUZELI

NIEWIELU ŁOMŻAN znało personalia i życiorys Juliana J. z Nowogrodu, natomiast niemal wszyscy znali — przynajmniej z widzenia — „Szeryfa”. Chłopak, choć bardzo Ignął do ludzi, nie miał zwyczaju opowiadać o swej przeszłości, czy uskarżać się na los. Nowogrodzianie jednak wiedzieli, a łomżanie bez trudu się domyślali, jakie katoggi musiał znieść od nadużywającego alkoholu ojca. Nie dał on wprawdzie synowi swego nazwiska, ale ojcowska ręka nie poskapiła trwałych pamiątek: spłaszczony nos, sfatygowane uszy, szramy na głowie, wąta postura. Co gorsze — czy to dziedzictwo genetyczne, czy sadystyczne formowanie charakteru, pozostawiło w psychice Juliana trwały ślad.

Chłopak wyrwał się spod ojcowskiej opieki bardzo wcześnie, ale jednocześnie za późno. Po leczeniu w szpitalu w Choroszczy otrzymał rentę inwalidzką. Na zawsze już miał pozostać chłopcem: jego rozwój psychiczny i umysłowy zatrzymał się na poziomie 12—14-latka. Kowboj Hoss z „Bonanzy” i westernowi szeryfowie stanowili dla niego uosobienie cnót męskich i wzór zachowań.

Naśladowanie idola Hossa niezupełnie mu wyszło: próba okiełznania rumaka na łomżyńskich pulwach zakończyła się zbyt boleśnie. Przyjemniejsza okazała się zabawa w szeryfa, którą bardzo poważnie traktował i Julek, i łomżanie. Julek-„Szeryf” nosił czarny kapelus

SPRAWA „SZERYFA”?

DANUTA WRONISZEWSKA

z charakterystycznym rondem, gwiazdę szeryfa i colty. Łomżanie nigdy nie podważali wartości samozwańczo przypiętej gwiazdy, czuli respekt przed jego szybkostrzelnym coltem na kapiszony. Na noszenie broni miał zresztą „Szeryf” urzędową zgodę zaprzyjaźnionego porucznika MO. Ponieważ ów funkcjonariusz wystawił mu również pisemne zezwolenie na bezpłatny przejazd na trasie Łomża—Nowogród, brak konia stał się mniej dokuczliwy.

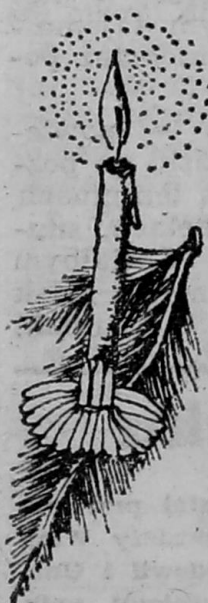
Na swój społeczny autorytet „Szeryf” zresztą zasłużył sobie sam, nie-nagannie wywiązując się ze swych obowiązków: gdy zamykały się sklepy, on rozpoczynał swój obchód, sprawdzał, czy wszystkie zakłady usługowe są dobrze zamknięte, a kłódki — solidne. Potem zasympłasnem sprawiedliwego: we wraku autobusu — gdy noc była dostatecznie ciepła, w piekarni przy ul.

Nowogrodzkiej — zimą. W dzień zajęć służbowych miał mniej: czasem rozgonił jakąś bójkę. Samym rozkazem lub strzałem w powietrze. Przemocy bowiem nie stosował.

Miał przyjaciół wśród taksówkarzy. Fundowali mu obiady w „Trampie”, kupowali buty, gdy widzieli, że już „schodził” ostatnie. Różni znajomi dawali mu czasem trochę pieniędzy. „Szeryf” zawsze pytał ofiarodawców, na co może je wydać. Do sklepu Teresy Boguckiej zaglądał z przyjaźnią, a także z nadzieją na cukierka. Pani Teresa dbała i o to, by chodził on w miarę przyzwoicie odziany.

LISTA PRZYKŁADÓW tej autentycznie społecznej opieki łomżan nad „Szeryfem” była by bardzo długa. Po reportażu „Szeryf jest tylko jeden”, zamieszczonym

CIĄG DALSZY NA STR. 7



jesienią 1982 r. w „Kontaktach”, o jego sytuacji dowiedziały się też łomżyńskie władze. On sam bowiem nigdy o pomoc do władz się nie zwracał, a formalnie był nowogrodzianinem. Owcześnie prezydent miasta, Jerzy Newelski, przydzielił mu mieszkanie przy ul. 1 Maja 10.

Odtąd „Szeryf” zaczął bywać w Urzędzie. Gdy któryś z wódatarzy miasta wychodził ze swego gabinetu, „Szeryf” przeżył się służbiście i meldował, że w mieście panuje spokój. Potem prezydent wymieniał z nim uścisk dłoni, częstował papierosem i wracał do swych zajęć. Gdy prezydenci byli zajęci, „Szeryf” nigdy im nie przeszkadzał. Lubił po prostu posiedzieć w sekretariacie. „Jego królowa”, czyli pani Danusia Tryc częstowała go herbatą i ciastkiem lub drugim śniadaniem. Mógł się ogrzać, odpocząć, trochę porozmawiać. Pani Danusia dała mu też pieniądze na wymarzonego colta, bodaj marki korkowiec, co bardzo docenił — obdarzając ją jedną ze swych gwiazd szeryfa.

Równie serdecznie zajęli się nim pracownicy PKPS-u i Klubu Seniora. Korzystał z całodziennych, nieodpłatnych posiłków w stołówce „U Matysiaków”, nie musiał się też martwić o odzież. Sekretarz Zarządu PKPS, Józef Kozłowski, sam pochodzący z Nowogrodu, miał do chłopaka osobisty stosunek. Toteż gdy siostra Juliana zdecydowała się umieścić go w Państwowym Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych w Zakrzewie, w woj. wrocławskim, odradzał jej ten krok. — Julek czuje się w Łomży dobrze — argumentował. — On zna ludzi, ludzie go znają. Ma dach nad głową, regularne posiłki, odzież. I co najważniejsze, znalazł w tym mieście swoje miejsce. Może nie przeżyć zbyt radykalnej odmiany.

Obawy Józefa Kozłowskiego okazały się, niestety, słuszne. Julian przyzwyczajony do swobodnego rozporządzania swym czasem, do swego wcielenia „Szeryfa”, nie najlepiej się czuł zredukowany do roli pensjonariusza Domu, którego regulaminowi musiał się podporządkować. Wkrótce do Łomży dotarły wieści o jego chorobie, o próbie ucieczki, w końcu o śmierci na torach kolejowych.

TAKĄ PRAWDĘ o „Szeryfie”, taką jego historię — przynajmniej do 1982 r. — znała Ewa Borzęcka, która w ub. roku zjawiała się w Łomży z egzemplarzem „Kontaktów” w dłoni i deklaracją filmowego „pójścia śladem” Juliana J. Dalsze jego losy dopowiedział jej kpt. Zbigniew Puchala z RUSW w Łomży. Ciepło wspominali go przed kamerą i łomżyńscy piekarze, i urzędujący wówczas w ratuszu Wiesław Dębiński.

Mnie również pomysł Ewy Borzęckiej trafił do serca... Niecodzienny stosunek łomżan do Juliana, akceptowanie jego inności, odgadywanie jego potrzeb, również psychicznych, wydawało mi się w dobie powszechnej znieczulicy czymś krępującym i godnym uwagi. Film, dysponujący wspaniałymi środkami wyrazu, myślałam, może o tym opowiedzieć i pięknie, i niebanalnie.

Film pod tytułem „Sprawa Szeryfa” został przez Telewizję Polską wyemitowany 3 grudnia 1988 r. w cyklu „Małe kino”. Marian Kociniak i Andrzej Zaorski zapewne skwitowałyby go wyłącznie chichotem „Ale kino!”. Łomżanie poczuli się jednak nie ubawieni, a dotknięci. Oto kilka opinii ludzi, którzy nieźle „Szeryfa” znali:

Danuta Tryc: — Nic nie uzasadniało tytułu: „Sprawa Szeryfa”. Parę osób powiedziało coś o nim samym, a większość filmu to pijackie opowieści i ponure obrazki. Tymczasem alkoholicy i prostytutki wcale nie stanowili jego towarzystwa. On był absolutnym abstynentem i do żadnych knajp i barów z alkoholem nawet nie zaglądał. Zresztą, nie musiał szukać znajomości wśród podejrzanych typów. I ten film na pewno by mu się nie podobał.

Józef Kozłowski: — To skandal, nie film! Zastanawiam się, czy nie napisać protestu do telewizji. Artysty mogą puszczać wodze fantazji, ale po co do brudów i wygłupów wmieszali tego biednego chłopca?

Halina Zajac: — Nie rozumiem, dlaczego opinii o Julianie J. filmowcy szukali wśród pijanych typów. W Klubie Seniora, gdzie on się stołował i przychodził na imprezy, dowiedzieli się, jaki był. A

był grzeczny, czystutki i bardzo lubiany. Na imprezach tańczył i śpiewał, jak wszyscy. A na co dzień przychodził na posiłki, potem szedł „bronić” miasta, a jak miał czas, zostawał pogadać.

Zbigniew Modzelewski: — Filmowcy powiesili „Szeryfa”. Takiej zbrodni im chyba nie możemy wybaczyć.

Jerzy Newelski: — Przykro mi ze względu na tego nieżyjącego już chłopaka, i dlatego, że Wiesław Dębiński i Zbigniew Puchala znaleźli się w filmie o takiej wymowie, i że ośmieszono w nim ludzi chorych, uzależnionych od alkoholu. Znam ich: to naprawdę w większości biedni ludzie, którym nie pomagają kuracje odwykowe.

Dorota Krajewska: — Jestem wstrząśnięta. Dopiero z filmu dowiedziałam się, jak wygląda życie towarzyskie w naszym „Satyrze”. Zgroza!

Prezes PSS, Stanisław Kaseja, do którego Ewa Borzęcka zwróciła się o udostępnienie jakiegoś lokalu na potrzeby jej filmu, przyznaje, że

melin. To nie byli nasi stali konsumenci. U nas obowiązuje zakazka do alkoholu. Nie wszystkim na to stać. Filmowcy stawiali sprowadzonym ludziom piwo, potem płacili im za opowiadanie głupot do kamery. Obsługa nie wyszła na salę — wstydziła się. Jeden gość za pieniądze pozorował, leżąc na podłodze, że się „urznął w trupa”. Czerwoną farbą malowali krew. Kazali tuc kufle. Na ulicy zrobiło się zbiegowisko. Nie wytrzymałam: o 15.00 wyprosiłam ekipę, chociaż umowę mieli do 20.00. Przekonywali mnie, że chodzi o jakiegoś szeryfa i że na Zachodzie też tak jest. Powiedziałam, że żadnego szeryfa nie znam i może lepiej, żeby te westery kręcili na Zachodzie. I okazało się, że widowisko, które oni tu wyreżyserowali, podane było tak, jakby się faktycznie zdarzyło w Łomży. To nie jest w porządku.

MNIE NATOMIAST najbardziej zdumiewa to, iż mankamentów filmu, które niejako intuicyjnie wyczuli „zwykli ludzie”, najwidoczniej nie zauważyli członkowie komisji oceniającej film i

Obok pomieszania formy reżyser Borzęckiej poplątały się wątki tematyczne. Powinna się była zdecydować na jeden (a jeszcze lepiej — na żaden). Nie miałabym do niej pretensji, gdyby bardziej filmowy od „Szeryfa” wydał się jej tzw. łomżyński margines.

Trudno ocenić, czy wątek knajpiany to reportaż udający film, czy też odwrotnie. Bardziej dyskusyjna jednak jest etyka Ewy Borzęckiej niż jej artystyczne wizje. Ktoś, komu powierzono kamerę, kto choćby tylko pretenduje do tytułu „reżyser”, powinien sobie zdawać sprawę, że różnica między aktorem grającym pijaka a autentycznym alkoholiczkiem w tej roli nie należy do gatunku szczególnie subtelnego. Publikowanie zaś twarzy osób uzależnionych nie zależy wyłącznie od osobistej wrażliwości reżysera czy fotoreportera. Mówi o tym zarówno ustawa prasowa, jak i kodeks cywilny. Ewa Borzęcka może się oczywiście zastanawiać, że osoby te zgodziły się na to, by je filmować. Perfidia polega na tym, że tych

SPRAWA

DANUTA
WRONISZEWSKA



„SZERYFA”?

sam w dobrej wierze zaproponował „Satyrę”. — Pani reżyser mówiła mi — uzasadnia swą decyzję — że potrzebny jest jej lokal stylowy: stary, wysoki. Zapewniała, że nie chodzi jej o krytykę knajpianej rzeczywistości, że film będzie o łomżyńskim „Szeryfie”, a lokal posłuży wyłącznie jako rekwizyt filmowy. Dlatego zapłacili nam 100 tysięcy złotych jako ekwiwalent za wstrzymane w tym dniu obroty zakładu.

Kierowniczka restauracji „Satyr” emocje „filmowego dnia” dawno odchorowała, a gotowy film już niewiele ją rozczarował: — Sama reżyser, gdy przyszła, nawet się zdziwiła, że tak u nas czysto i zaczęła wprowadzać swoje porządki. Kazala wstawić fortepian, którego tu nigdy, jak zakład istnieje od 1940 r., nie było, i beczkę z piwem, choć beczkowego my nie sprzedajemy. Na salę puścili jakiś gaz, jakby dym papierosowy. Ale film, to film. Jednak zamiast artystów filmowcy zaczęli tu ściągać ludzi z ulicy. Pijana kobieta wydawała mi się podejrzanego prowadzenia. Na moje zastrzeżenia usłyszałam, że nie będzie powiedziane, że chodzi o Łomżę, a takie same przypadki mogą się zdarzyć w Jeleniej i w Zielonej Górze. Sprowadzili mężczyzn, chyba z

kwalifikującej go do emisji. Ewa Borzęcka tymczasem popełniła zarówno błędy warsztatowe, jak i naruszyła etykę zawodową. Wydaje się zresztą, że Borzęcka od początku nie bardzo wiedziała, co ma zrobić z przyznaną jej kolorową taśmą filmową, ekipą i pieniędzmi (nie tak symbolicznymi, by się dobrze nie zastanowić, na co je spożytkować). Z jednej bowiem strony zamierzała kręcić film dokumentalny czy reportaż o Julianie J., zwanym „Szeryfem” (świadczą o tym próby „pójścia tropem”, czyli inspiracja reportażem prasowym i rozmowy z trzeźwymi i poważnymi osobami, którym nie płaciła honorarium, czyli nie traktowała jak aktorów czy statystów), z drugiej zaś — do scenariusza wprowadzała elementy absolutnie wymaginowane. Pierwotnie zamierzała nawet nakręcić scenę ukrzyżowania „Szeryfa”, lecz ostatecznie zamieniła ją na powieszenie kukły na ratuszowym zegarze. Obraz zamyka rzewne smyczkowe lkanie stojącego na dachu skrzyпка. Symbolika niewątpliwie głęboko poetycka: nikt nie wie, o co autorce chodziło.

mężczyzn filmowano pijanych, a alkohol serwowała im osobiście i na „koszt firmy” — ekipa filmowa. Ciekawa bym usłyszeć, jaki to nadrzędny, szlachetny cel społeczny uzasadniał tak bezwzględne wykorzystanie ludzi uzależnionych? Ośmielałam się przypuszczać, że twórczyni filmu nie kierowała się żadną ideą. Miała jedynie pewność, że może sobie na to bezkarnie pozwolić, gdyż te osoby nie znają swych praw i nie wniosą sprawy do sądu. Może nawet będą dumne, że wystąpiły w filmie... Swe sumienie uspokoiła płacąc im symboliczną kwotę jako honorarium autorskie.

PRZY PEWNEJ PREDYLEKCIJ Powoj grupy filmowej do knajpianej atmosfery, zainteresowaniu egzotyką środowiska alkoholiczków oraz przy akceptowaniu nietetycznych form postępowania dziwić się można, że nie zdecydowali się na sfilmowanie bardziej pod tym względem atrakcyjnego kłosego z warszawskich „ścieków” czy portowych burdeli, gdzie nie trzeba by retuszować, szminkować rzeczywistości, aby efekt był piorunujący. Tylko że tam filmowa ekipa straciłaby zapewne służbową kamerę oraz prywatne zęby.

punkt widzenia

